DODATEK LITERACKI I OGÓLNOKSZTAŁCĄCY „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO“

Rok 1924 Nr. 11

ADAM MICKIEWICZ.

Opowieść Wojskiego o Domejce i Dowejce.

Domejki i Dowejki wszystkie sprzeciwieństwa
Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa
Bardzo niewygodnego. Bo, gdy w czas sejmików,
Przyjaciele Dowejki skarbili stronników,
Szepnął ktoś do szlachcica, daj kreskę Dowejce;
A ten, nie dosłyszawszy, dał kreskę Domejce.
Gdy na uczcie wniósł zdrowie marszałek Rupejko:
„Wiwat Dowejko“, drudzy krzyknęli: „Domejko“;
A kto siedział w pośrodku, nie trafił do ładu,
Zwłaszcza przy niewyraźnej mowie w czas obiadu.

Gorzej było; raz w Wilnie jakiś szlachcic pjany
Bił się w szable z Domejką i dostał dwie rany,
Potym ów szlachcic, z Wilna wracając do domu,
Dziwnym trafem z Dowejką zjechał się u promu;
Gdy więc na jednym promie płynęli Wilejką,
Pyta sąsiada kto on, odpowie: Dowejko;
Nie czekając, dobywa rapier z pod kirejki[1]),
Czach, czach, i za Domejkę podciął wąs Dowejki.
Wreszcie, jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,
Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,
Że stali blizko siebie oba imiennicy,
I do jednej strzelili razem niedźwiedzicy.
Prawda, że po ich strzale upadła bez duchu,
Ale już pierwej niosła z dziesiątek kul w brzuchu;
Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób,
Kto zabił niedźwiedzicę? dojdźże w jaki sposób?

Tu już krzyknęli: dosyć! trzeba raz rzecz skończyć,
Bóg nas czy djabeł złączył, trzeba sie rozłączyć;
Dwuch nas, jak dwuch słońc, pono zanadto na świecie,
A więc do szerpentynek[2]) i stają na mecie.
Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,
To oni na się jeszcze zapalczywiej bodzą.
Zmienili broń; od szabel szło na pistolety.
Stają, krzyczym, że nadto przybliżyli mety.
Oni na złość. przysięgli przez niedźwiedzią skórę
Strzelać się, śmierć niechybna! prawie rura w rurę;
Oba tęgo strzelali. — „Sekunduj, Hreczecha!“
Zgoda, rzekłem, niech zaraz dół wykopie klecha:
Bo taki spór nie może skończyć się na niczym;
Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym,
Dosyć już mety zbliżać, widzę, źeście zuchy,
Chcecie strzelać się, rury oparszy na brzuchy?
Ja nie pozwolę; zgoda, że na pistolety;
Lecz strzelać się nie z dalszej, ani z bliższej mety,
Jak przez skórę niedźwiedzią; ja rękami memi,
Jako sekundant, skórę rozciągnę na ziemi
I ja sam was ustawię. Waść po jednej stronie
Stanie na końcu pyska, a waść na ogonie.
„Zgoda!“ wrzaśli: czas?—Jutro.—Miejsce? Karczma Usza.
Rozjechali się. Ja zaś do Wirgilijusza. —
Wszak wiecie, waćpanowie, jak królowa Dydo
Przypłynęła do Libów i tam z wielką biedą
Wytargowała sobie taki ziemi kawał,
Któryby się wołową skórą nakryć dawał;
Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago!
Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.

Ledwie dniało, już z jednej strony taradejką
Jedzie Dowejko, z drugiej na koniu Domejko.
Patrzą, aż tu przez rzekę leży most kosmaty,
Pas ze skóry niedźwiedziej, porzniętej na szmaty.
Postawiłem Dowejkę na zwierza ogonie
Z jednej strony, Domejkę zaś po drugiej stronie.
Pukajcie teraz, rzekłem choć przez całe życie,
Lecz póty was nie spuszczę, aż się pogodzicie.
Oni w złość; a tu szlachta kładnie się na ziemi
Od śmiechu, a ja z księdzem słowy poważnemi
Nuż im z Ewangelji, z statutów dowodzić;
Niema rady: śmieli się i musieli zgodzić.

Spór ich potym w dozgonną przyjaźń się zamienił,
I Dowejko się z siostrą Domejki ożenił,
Domejko pojął siostrę szwagra, Dowejkównę.
Podzielili majątek na dwie części równe,
A w miejscu, gdzie się zdarzył tak dziwny przypadek,
Pobudowawszy karczmę, nazwali „Niedźwiadek“.

RAYMOND LUCE-GILSON.

U wrót śmierci.

Było to na pokładzie „Ormonde'u“ w jasny i ciepły wieczór. Płynęliśmy po morzu Czerwonem, zdążając do Adenu.

Wyciągnąłem się na leżaku na tylnym pomoście. Obok mnie siedział jeden z towarzyszów podróży, nazwiskiem Hollis, którego jedynem powołaniem życiowem było, jak się zdaje, wędrować po świecie i znajdować się nieuchronnie zawsze tam, gdzie rozgrywała się jakaś tajemnica, tragiczna przygoda. Lubiłem rozmawiać z tym człowiekiem, młodym jeszcze, wyglądającym raczej na spokojnego przemysłowca, niż nowoczesnego poszukiwacza przygód. Znał świetnie wszystkie drogi morski, a każdy napotkany port, każde dojrzane zdala wybrzeże przypominały mu jakieś zdarzenie, które opowiadał nam flegmatycznie, a którego słuchaliśmy z zachwytem. Tego wieczora Hollis siedział w milczeniu, z wzrokiem utkwionym w krańce widnokręgu. Widocznie upatrywał tam czegoś chciwie. Czas mijał szybko, płynęliśmy pełną parą, nie widząc nic, prócz nieba i morza.

Nagle Hollis powstał, oparł się o balustradę i począł uważniej wpatrywać się w mrok. Wstałem również i stanąłem obok niego. Przed nami na gładkiej powierzchni dostrzegłem małe światełko, które zabłysło nagle, potem zgasło, pojawiło się znowu i znów znikło, by powrócić po upływie niespełna trzydziestu sekund. Stopniowo stało się wyraźniejsze; była to latarnia morska, zagubiona gdzieś tam daleko, wśród wodnej pustyni.

— W rytmie dwóch rozjaśnień, przedzielonych sekundową przerwą, po których następuje trzydzieści sekund zagaśnięcia, błyszczy przed nami światło „Deadalus Light House“, rzekł mi Hollis.

Zdumiony tem, że rozpoznaje on latarnie morskie po rytmie ich rozbłysków, zapytałem:

— Czyżby pan umiał na pamięć cały kodeks latarni morskich?

— Nie, odpowiedział, ale „Daedalus Light House“ jest starą moją znajomą i wątpię, abym ją kiedykolwiek w życiu mógł zapomnieć. Byłem w niej świadkiem wysoce tragicznej sceny. Jeżeli to pana zajmie, to opowiem, w jakich warunkach odwiedziłem tę latarnię, wśród gwałtownej burzy. Powracałem z Indo-Chin na rosyjskim statku, wynajętym przez francuskie towarzystwo okrętowe. Statek ten zwał się „Ural“, był śmiesznem pudłem, a jednak przeżyłem na nim piękne chwile. Wpłynęliśmy w cieśninę Daedalus i już dwa wypadki zmąciły nam spokój. Żołnierz jeden dostał obłędu, po wypłynięciu zaś z Djibuti odkryliśmy nadprogramowego pasażera na spodzie okrętu. Jestem przesądny, oczekiwałem zatem trzeciej przygody.

Pewnego ranka, na dwa dni drogi przed Suezem, Osip Garienko, majtek ze straży okrętowej, przybiegł z zawiadomieniem, że Aleksander Aleksandrowicz, porucznik, prosi mnie, abym przyszedł na pomost. Zastałem tam wszystkich oficerów, wpatrujących się przez lornetki w jakiś punkt na widnokręgu. Poszedłem w ich ślady. Był to dziwny przedmiot, coś w rodzaju latarni morskiej, wystercząjący z wody i ozdobiony dwoma postrzępionemi sztandarami, których nie mogliśmy rozróżnić. Zboczyliśmy z drogi, kierując się w lewo. Po godzinie połowa latarni stała się widoczna. Była ona pomalowana w wielkie kraty czarne i białe i teraz rozróżniliśmy na niej flagę egipską oraz flagi, sygnalizujące katastrofę i wezwanie pomocy. Na rozkaz kapitana Osip wywiesił dwie wielkie różnokolorowe flagi, oznajmiające, że dostrzegliśmy sygnały i przybywamy z pomocą. O pół do jedenastej zarzuciliśmy kotwicę naprzeciw Dadalus Light House. Jedna to z najdziwniejszych latarni, jakie kiedykolwiek widziałem. U jej stóp pod przejrzystą powierzchnią morza widnieje olbrzymia biała masa koralu, na której została wzniesiona. Na małym pomoście od południa wznosi się miniaturowa kabina z blachy żelaznej, na wschodzie drugi pomost, większy, przedłuża rafę koralową i służy jako przystań dla łódki latarników, którą ujrzeliśmy przywiązaną do kołków. Czas był okropny, wiatr wzdymał morze w wielkie bałwany, najeżone pianą, które otaczały latarnię białym pasem. Ponieważ mimo donośnych głosów naszej syreny nikt się nie zjawiał, kapitan postanowił wysłać łódkę, a w niej Aleksandra Aleksandrowicza i lekarza okrętowego. Wyprosiłem też miejsce dla siebie. Z chwilą, gdy zatrzymaliśmy się, pasażerowie wylegli tłumnie na pokład i domagali się głośno podania szczegółów zdarzenia. Zanim wsiedliśmy do łódki, zostało postanowione, że okręt odpłynie, nieco, aby nie być przez prąd rzuconym o rafę i w pewnej odległości oczekiwać będzie wiadomości.

Spuszczenie łódki połączone było z niebezpieczeństwem, ale i wylądowanie nasze nie ustępowało mu w niczem. Tylko dzięki nadzwyczajnym sztukom akrobatycznym zdołaliśmy wspiąć się na pomost, wszyscy trzej ociekający wodą. Następnie musieliśmy iść trzymając się poręczy. Wreszcie dotarliśmy do drzwi, które udało mi się otworzyć bez zbyt wielkich na szczęście trudności.

Izba na dole była pusta. Przez wąskie schodki żelazne wspięliśmy się do pokoju sypialnego i latarni. W pokoju dwóch ludzi leżało na łóżkach. Obaj wychudli, bez kropli krwi w twarzach. Lekarz zbadał ich szybko, żyli jeszcze. We wnętrzu latarni przy regulatorze lampy leżał trzeci człowiek, patrzący bez słowa na nas błędnemi oczyma. Podniósłszy go znieśliśmy do trzeciego łóżka w sypialni. Nie zapomnę go nigdy. Był to wysoki blondyn, wspaniały mężczyzna mimo wychudzenia. Odziany był jedynie w krótkie spodnie i grubą koszulę bez rękawów. On to zdołał wreszcie wyjaśnić nam, co się stało. Przed siedemnastu dniami okręt aprowizacyjny miał im przywieźć żywność na przeciąg miesiąca, ale straszliwa burza nie pozwoliła mu zbliżyć się do latarni. Widzieli, jak odpływał po bezowocnych usiłowaniach, a potem nie pojawił się więcej, mimo, że burza minęła. Po jedenastu dniach wyczerpawszy zapasy konserw żywili się wyłącznie odrobiną mąki i rybami, które łowili z najwyższym trudem pod groźba porwania przez fale. Od czterech dni nic nie mieli już w ustach. Wywiesili wówczas flagę rozpaczy i upatrywali jakiegoś zbawczego statku. Widzieli kilka, żaden jednak nie raczył posłyszeć rozpaczliwych nawoływań latarników. Jakież tragiczne dzieje trwogi i zwątpienia tych trzech ludzi podczas długich dni wyczekiwania. Dnia poprzedniego dwóch legło na łóżkach, zbyt bowiem byli osłabieni, by móc utrzymać się na nogach, trzeci tylko z nadludzką energją zdołał zaświecić latarnię. Rano, wyczerpany czuwaniem, dowlókł się do korby, wstrzymującej mechanizm, i po niezliczonych wysiłkach zgasił lampę. — Niech pan wyobrazi sobie niepokój tego nieszczęśnika, konającego prawie, skoro dojrzał nas na widnokręgu. Wzrok, osłabiony głodem, nie pozwolił mu rozróżnić naszych sygnałów, a skoro dostrzegł, że zbliżamy się ku latarni, nie mógł zdobyć się na ruch jeden, aby zawiadomić nas o swej obecności i wezwać na pomoc. Sądził, że się nie zatrzymamy.

Zaproponowaliśmy, że zostawimy im jednego z naszych majtków, aż do przybycia statku aprowizacyjnego, odmówili, prosząc jedynie o żywność i lekarstwa. Daliśmy znak „Uralowi“, aby się zbliżył i podczas, gdy łódź popłynęła, aby przywieźć potrzebne im rzeczy, strażnik, którego zastaliśmy przy latarni, objawił chęć wpisania swego nazwiska w moim notatniku. Niech pan patrzy na ten autograf, jaki chwiejny, jaki dziwaczny. Oparci o balustradę pomostu patrzyliśmy na łódkę, podskakującą na falach, a wówczas Owen, latarnik, rzekł mi, wskazując na „Ural“:

— Byliście panowie ostatniem naszem wybawieniem. Gdyby nie wy, tego wieczora Daedulas nie byłby stanął na straży, aby ostrzegać okręty przed straszliwem niebezpieczeństwem, którem grozi im nasza rafa. Bylibyśmy pewnie pomarli w nocy cichutko, a wiatr morski zaintonowałby nam mszę żałobną. Od piętnastu lat jestem w bractwie św. Trójcy, a zdarza mi się to poraz pierwszy. Nie zraził mnie jednak ten wypadek, służyć będę dalej tak, jak dotąd, siedem miesięcy w latarni, trzy na lądzie, pewnie aż do końca dni moich.

Wielki okręt, zaintrygowany tem, że „Ural“ znajduje się tak blisko latarni, zapytywał pospiesznie, co się dzieje i ofiarowywał swoje usługi. Uspokojony co do losu naszego i latarników, popłynął dalej, przesławszy nam serdeczne pozdrowienie.

Pozostawiliśmy trzem uciekinierom z krainy śmierci zapasy żywności na piętnaście dni, oraz obietnicę, że wyślemy radjo do Suezu o pomoc dla nich, co też uczyniliśmy. Skoro płynęliśmy, możliwie najbliżej latarni wiatr przyniósł nam radosne okrzyki Owena stojącego na szczycie latarni. W dwa dni później, gdy wpływaliśmy do portu Suezkiego, dostrzegliśmy aprowizacyjny okręt egipski, zdążający pełną szybkością na południe. Pomyślałem, gdy pozdrawiał nas flagą, jakie przyjęcie zgotuje mu Owen latarnik.

Charakterystyka pierwszego okresu dziejów polski.

Ze śmiercią Bolesława Krzywoustego kończy się pierwszy okres historji polskiej.

W pierwszym okresie, już w chwili przyjęcia wiary chrześcijańskiej, ma książęcy ród Piastów nad państwem polskiem władzę pełną, niczem nie skrępowaną. Wola księcia, później króla — jest najwyższem i jedynem prawem, któremu nikt oporu stawić nie śmie. Książę jest prawie właścicielem wszystkich obszarów ziemi, to też może państwem rozporządzać jakby majątkiem osobistym; według uznania swego nadaje w nagrodę — komu zechce — posiadłości ziemskie, wyposaża synów dzielnicami, jak dzisiejszy wieśniak swoim gruntem. On jest najwyższym sędzią w całem państwie, ma prawo swoim wyrokiem najmożniejszego pana zmienić w nędzarza, odejmując mu jego posiadłości, dostojeństwa i urzędy, karać może na ciele kalectwem, np. oślepieniem, nawet śmiercią. Nie brak na to przykładów, jak złożenie z województwa i wygnanie z kraju takiego Sieciecha, jak wyłupienie oczu Zbigniewowi, jak wyrok śmierci, wykonany choćby na pomazańcu duchownym, św. Stanisławie.

Piastowie budują Polskę, przyłączając do swej dziedzicznej ziemi Polan coraz dalsze bratnie plemiona i kraje. Władcy tych pobitych plemion od piastowskich monarchów otrzymują włości rozległe i w nowem państwie sprawiają najwyższe urzędy. Wiadomo np. o Sieciechu, że pochodził od udzielnych niegdyś władców na Tyńcu. Do najznamienitszych urzędników należał palatyn; obok niego wojewoda czyli dowódca naczelny; na książęcych grodach siedzieli urzędnicy, zwani pierwotnie poprostu panami; mówiło się więc: pan krakowski, pan sandomierski, dopiero później zwano ich z łacińska — kasztelanami. Przy królewskiej osobie występują nadworni urzędnicy, jak podczaszy, koniuszy, stolnik, podskarbi. Wszyscy owi dostojnicy, potomkowie podbitych władców, rozrodzą się kiedyś w osobny stan szlachecki, później nawet bardzo liczny.

Ale potęga, na której opiera się władza królewska, jest wojenna drużyna, która spełnia rozkazy króla i wolę jego społeczeństwu narzuca choćby przemocą, jeśli zajdzie tego potrzeba. Zrazu drużyna jest na utrzymaniu panującego, żyje na jego stole; z biegiem czasu wojownicy dostają po kawałku ziemi, ale z obowiązkiem stawienia się w szeregach wojskowych na każde zawołanie. Tak powstaje osobny stan: rycerstwo szeregowe.

Obok tych wolnych są teraz ludzie nawpół wolni: to kmiecie, potomkowie dawnych rodów słowiańskich. Wobec powagi i przewagi monarszej zatracili oni zwolna swoje prastare urządzenia rodowe, polegające na zupełnej wolności i równości wszystkich i na wspólnem wiecowaniu. Ziemię posiadają dziedzicznie, tylko już nie do spółki, lecz na własność osobistą; wszelako muszą z niej czynsz opłacać królowi.

Jest i ludność wręcz niewolna: jeńcy wojenni albo niewolnicy kupni. Osadzono ich na ziemi, bądź to jako naroczników, bądź jako robotników rolnych, pracujących dla swego pana. Wszyscy oni pozbawieni byli wolności osobistej, „przywiązani do ziemi", czyli nie mieli prawa przesiedlać się swobodnie; w razie ucieczki można ich było zmusić do powrotu. Wśród nich najdłużej zachowało się bałwochalstwo, oni to podnosili dwukrotny bunt pogański: po śmierci Mieszka II i za czasów Bolesława Śmiałego.

Poza temi stanami odrębne zupełnie stanowisko i to wielce dostojne, zajmuje stan duchowny. Wszak nazwa „ksiądz", pierwotnie znaczyła to samo co książę. Początkowo duchowni są cudzoziemcami, bo zrazu niema Polaków dostatecznie wykształconych. Obcy przybysze, nie znający ni kraju ni ludu, gorliwie krzewią Ewangelję i zachodnią cywilizację, w której sami wzrośli, zgoła jednak nie mogą wywierać wpływu na sprawy państwowe. W miarę jak oświata chrześcijańska coraz głębiej zapuszcza korzenie, polszczyło się i duchowieństwo. Biskupi, opaci, księża, już Polacy rodowici, nad wszystkimi w kraju górują kapłańską powagą i wykształceniem, to też u samego króla znajdują posłuch ogromny, jako wpływowi, mądrzy doradcy.

Zabójstwo św. Stanisława podcięło potęgę i powagę władzy królewskiej. Pan samowładny całej Polski traci koronę i ginie na wygnaniu, zato, że wykonał wyrok śmierci na swoim poddanym! Ale tym poddanym był... biskup. Tem samem niepomiernie wzrasta potęga i znaczenie duchowieństwa. Kurczy się i blednie majestat monarszy, od tego czasu nieprzyozdobiony już koroną, która mu tyle dodawała blasku. Testament Krzywoustego do reszty osłabia i obniża władzę monarszą, rozkruszywszy i rozdawszy ją po kawałku dzielnicowym książątkom. To też w okresie II duchowieństwo stanie się jedyną i wszechwładną potęgą.

Wślad za upadkiem władzy królewskiej musiał pójść upadek samego państwa, uszczuplenie granic, utrata niezależności. Główną zasługą pierwszych Piastów było, że zdołali z Polski uczynić królestwo niezawisłe od cesarstwa niemieckiego. Zawzięcie walczyli o tę niepodległość i tylko pokonani, z musu godzili się chwilowo na złożenie hołdu cesarzowi. W Czechach działo się inaczej, bo Przemyślidzi dbali zawsze o poparcie cesarskie i skwapliwie uznawali się lennikami niemieckimi. Nie dziw, że królestwo czeskie nigdy właściwie nie było samodzielnem państwem. W tym okresie Polska broni się od obu zachodnich sąsiadów, od cesarza i od jego lenników Czechów i stawia skuteczną zaporę dalszemu postępowi Niemców na wschód.

Równocześnie Piastowie raz po raz wytężają siły ku północy, by dotrzeć do Bałtyku; Chrobry zaczyna to dzieło, kończy je Krzywousty.

Czwartym sąsiadem, z którym Polska ma wtedy nieraz do czynienia, jest Ruś, naród krwią i mową bratni, a wręcz odmienny duchem. Ta różność powód ma w tem, że Polacy przyjęli chrześcijaństwo z Rzymu, należą do łacińskiego Kościoła i do zachodniej cywilizacji; gdy Rusini chrzest wzięli z Carogrodu czyli z Bizancjum i przesiąkli pojęciami wschodniemi. Głową Kościoła rzymskiego jest papież, który nigdy nie ulegał świeckiej władzy cesarzów ani królów, a nawet łamał ich, gdy nad nim chcieli przewodzić; przeciwnie Kościół wschodni czyli Cerkiew bizantyńska, wyrwawszy się z pod rządów papieża, popadła w służbę cesarza bizantyńskiego i podległa ślepo jego rozkazom. Kościół rzymski wywalczył sobie rozwój swobodny i krzewił oświatę, naukę, sztukę wśród ludów, które do niego należą; Cerkiew bizantyńska, obezwładniona i skrępowana przez władzę państwową, nie rozwinęła się na duchu i ludy swoje nauczyła tylko bezmyślnych religijnych praktyk. Polska i w tym okresie i później dążyła zawsze do tego, by na Ruś przeszczepić zbawienny wpływ rzymskiego Kościoła i zachodniej cywilizacji.

WŁODZIMIERZ ŻARECKI.

Współżycie w świecie roślinnym i zwierzęcym.

Zwierzęta i rośliny żyją we wzajemnej zależności. Niekiedy jednak stowarzyszają się z sobą umyślnie i, współżyjąc, świadczą sobie wzajemnie usługi z niejedną korzyścią połączone. Ciekawą jest rzeczą śledzić zwierzęta, przypatrywać się ich sposobowi życia, podpatrywać je, by wielu ciekawych rzeczy dowiedzieć się było można.

Najbardziej interesującemi są obyczaje mrówek. Drobne te owady lubią niezmiernie słodycze.

Dla zdobycia ich potrafią odbywać bardzo odległe od swego mrowiska wędrówki. Na wielkie niebezpieczeństwa narażają się nieraz, byle się dostać do ulubionego przysmaku. Na liściach roślin, na łodygach ziół, gęsto zbitym tłumem żerują często ociężałe mszyce.

Gdy się tylko o nich dowiedzą mrówki, natychmiast tam śpieszą. Ociężała mszyca porusza się zazwyczaj bardzo leniwie. Schwytać ją to rzecz łatwa.

Mrówka posiada do tego odpowiednie narządy. Szczypcami szczęk swoich porywa mszycę i ostrożnie zanosi ją do mrowiska. Tam przyrządzą dla niej nowe mieszkanie, pilnuje bacznie, by się z niego nie wydostała. W mrowisku można znaleźć nieraz bardzo dużo mszyc. Mrówki karmią i pielęgnują je dla swojej własnej korzyści. Mszyca posiada na grubym stosunkowo do swego ciała odwłoku dwie krótkie dogóry sterczące rurki. Podrażniona wydziela słodki, przejrzysty płyn.

Mrówka dotyka się zatem rożkami swemi, na głowie umieszczonemi, owych mszyc i otrzymuje pożądaną słodycz, wyciekającą rurkami z jej odwłoka. W niewoli trzymana mszyca jest dla mrówki tem, czem jest krowa lub owca dla człowieka. Mrówka doi mszycę. Wzamian zato dostarcza leniwej i mało ruchliwej mszycy pożywienia, które jej do mrowiska przynosi, tak, jak my dostarczamy paszy krowie.

Obie strony z takiego pożycia osiągają korzyści wzajemne i są z siebie zadowolone. Z tego upodobania mrówek w słodyczach korzystają także niektóre rośliny. Gąsienice owadów są największemi niszczycielkami i wrogami roślin, mrówki zaś napastują gąsienice jeżeli napotkają je na swej drodze.

Rośliny wydzielają nieraz umyślnie słodki płyn, aby nim znęcić do siebie mrówki, jako obronicielki przed gąsienicami. Na roślinach takich widzieć można często mrówki, biegające po nich tam i napowrót, ciągle czemś zajęte. Pracują one nad oczyszczeniem rośliny ze szkodników, a wśród pracy raczą się słodkim posiłkiem, który roślina zostawia dla nich umyślnie. I tu widzimy znowu wzajemne korzyści, wynikające ze współżycia dwóch zupełnie od siebie różnych istot. Rośliny, które do usług zapraszają sobie mrówki, nazywają się mrówkolubne, jak np. topola włoska.

Inne znowu rośliny do podobnych usług zapraszają sobie nie mrówki, ale malusieńkie kleszczyki.

Lipa nasza, by uchronić liście od żarłoczności innych owadów, pod spodem liści, w kącikach wiązki żeberkowato sterczącej, tworzy z rudawych włosków, na siebie zachodzących, zaciszne schronienie dla małych kleszczyków.

Przez dzień prawie niewidzialne uwijają się one po powierzchni liści i łowią drobne owady, któreby na liściach rozmnożyc się chciały, aby potem mogły je zniszczyć. Na noc lub w czasie słoty chowają się do swych ciepłych i miękkich schronisk, utworzonych z rudawych włosków. Bardzo im tam dobrze i wygodnie być musi, skoro nawet zimę przepędzają na lipie, ukryte w jej pączkach, i oczekują tak wiosny, zabezpieczone od zimna. Lipa jest więc drzewem kleszczykolubnem. Nie pożywieniem, ale wygodnem mieszkaniem płaci swej policji, która pilnuje, by na jej obszarze nie robiono szkody.

Rośliny z wielu owadami żyją w przyjaźni Barwne płatki koron kwiatowych, woń, unosząca dookoła kwiatów, nektar przejrzysty, słodki, sączący się z różnych gruczołów wewnątrz kwiatów się znajdujących, wszystko to roślina przygotowuje dla owadów, które mają przenosić pyłek kwiatowy z jednego kwiata na drugi, by je zapłodnić obcym pyłkiem. Przyjaźń ta jest dla niektórych tylko chwilową, ale jeżeli weźmiemy pod uwagę, że są kwiaty, kwitnące całą wiosnę lub całe lato, to widzimy, że z usługi owadów korzystają one przez czas dłuższy.

Kwiat stara się o wszystkie możliwe dogodności dla owada, byle sobie zapewnić jego odwiedziny.

Nadaje więc płatkom korony taki kształt, aby owad mógł na nim wygodnie usiąść i słodycz wysysać, a zarazem zabrać pyłek i na inny kwiat przenieść. Owady zaś mają przystosowane do kwiatów swoje narzędzia pyszczkowe.

Te które szukają nektaru jak: pszczoły, motyle, trzmiele, posiadają stosowne j długości ssawki, inne znów, które się żywią delikatnym pyłkiem, posiadają rogowe szczęki maluchne, któremi doskonale drobniutki pyłek rozgryzać umieją.

Na wiosnę, w zaroślach już w początkach kwietnia pojawia różowy kwiat o długiej rurkowatej koronie, płucnikiem — miodunką zwany.

Na szypułce kwiatowej sierpowato zgiętej mieści się dużo kwiatków, rozwijających się kolejno. Świeżo rozwinięty kwiat jest jansoróżowy; siada na nim dzika pszczoła, opatrzona w długi języczek do ssania i lizania, gdyż żadna inna nie dosięgnie gruczołów miodowych na dnie kielicha ukrytych.

Gdy kwiat zapylonym zostanie, przestaje sączyć nektar i zmienia się w sinawy. Na jednej łodyżce widzimy zatem dwubarwne kwiaty. Jest to jakby znak dany pszczole, że niepotrzebnie trudziłaby się do sinawych kwiatków, bo nektaru w nich już nie znajdzie.

Pszczoła rozumie doskonale, jaka zmiana w kwiecie zaszła i nigdy na sinym kwiatku miodunki nie siada. Tylko trzmiel, mniej roztropny od pszczoły, doznaje często niemiłego zawodu, gdy ssawkę zapuszcza w rurkę pustego kwiatu. Czyż nie zachwycające porozumienie dwojga, którzy sobie wzajemnie oddają usługi. W morzach żyją dziwaczne zwierzęta, podobne do mięsistego worka, o barwie czerwonej, fioletowej.

Zwierzęta te przyrastają do skał i z miejsca się ruszyć nie mogą, kurczą się jednak i wydłużają dowoli Nie posiadają one ani oczu, ani uszu, tylko otwór gębowy, a naokoło tego otworu, jakby frendzle, wieniec mięsistych czułków, również wydłużających się jak nitki i parzących jak pokrzywa; niemi to chwytają pokarm.

Zwierzęta te nazywają się ukwiałami. Ukwiał z trudnością znajduje pożywienie, nie mogąc ruszać się z miejsca. Jest bardzo wrażliwym na dotknięcie i raczej da się rozerwać na kawałki, aniżeli z miejsca ruszyć. Żyje jednak w morzu rodzaj raczka, który z ukwiałem wielką zawiera przyjaźń. Skorupiak ów nazywa się pustelnikiem.

Podchodzi on do ukwiała, odrywa go delikatnie szczypcami od podłoża i przenosi na muszlę, opuszczoną przez ślimaka. W tę muszlę włazi sam i chowa w nią odwłok swój, który jest miękki i łatwo może być uszkodzonym. Z muszli wystawia tylko nogi z szczypcami i głowę. Posuwając się naprzód, niesie ze sobą ukwiała. Jeżeli ukwiał przez jaki przypadek zginie, to pustelnik szuka nowego i nie spocznie, dopóki na swym domku nie umieści nowego lokatora. Naodwrót ukwiał z tej przyjaźni osiąga dla siebie również znaczne korzyści, bo przenoszony z miejsca na miejsce obfituje w pożywienie, na które składają się odpadki, nie spożyte przez pustelnika.

Pustelnik zaś ma obrońcę w ukwiale, który wyrzuca z siebie mnóstwo nitek z parzącemi pęcherzykami, gdy kto zbliża się do pustelnika w wrogim zamiarze. Oba te zwierzęta są jakby umyślnie stworzone na to, by wspólnie prowadzić życie.

Mnóstwo roślin wchodzi we współżycie z grzybami. Rośliny takie nazywają grzybożywnemi.

Na korzeniach dębu, buku i innych drzew liściastych widzimy grzybnię, jakby lekką pajęczynę, a pod drzewem wyrastają z nich owocniki kapeluszowe. Grzybnia ciągnie pożywienie z drzewa, a wzamian dostarcza drzewu pewnych korzyści. Współżycie jest więc w świecie istot żyjących bardzo rozpowszechnione.